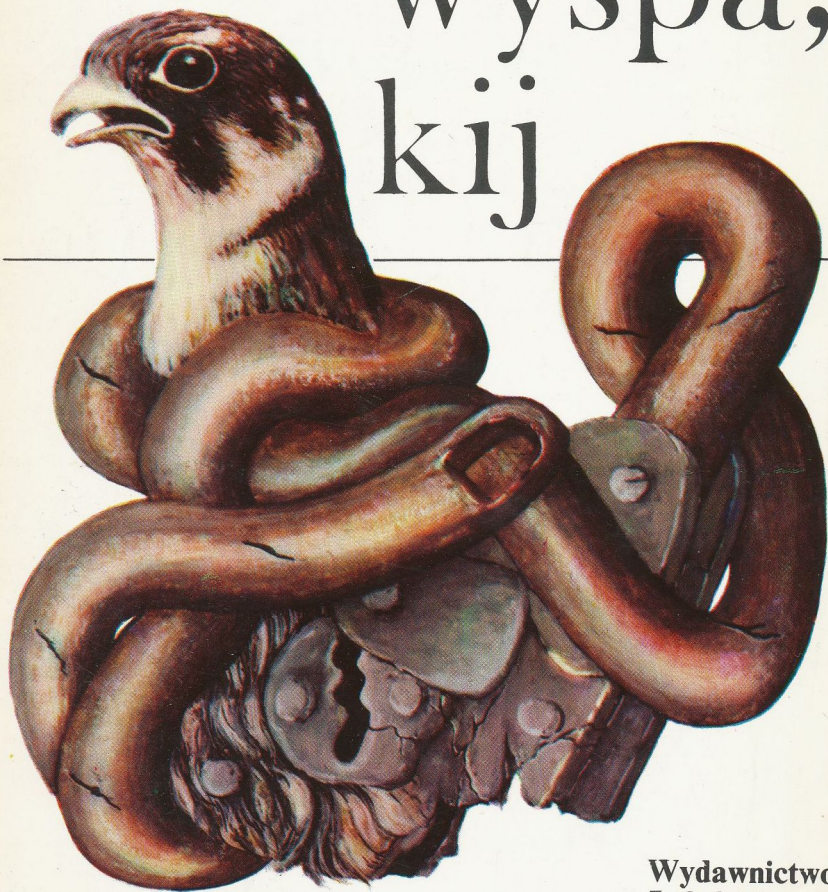


Waldemar
Dras

wyspa,
kij



Wydawnictwo
Lubelskie

*Wysoki staw
paruje nieustannie.*

A. Rimbaud

Wysoki staw

DLA JOLIS

Waldemar
Dras

wyspa,
kij

wiersze
i poematy

Wydawnictwo Lubelskie

Projekt obwoluty i karty tytułowej
MIROSLAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
ALICJA ZAGORSKA-CZARNECKA

ISBN 83-222-0221-0

© Copyright by Waldemar Dras,
1982

W noc zyciej

UPOWAŻNIENIE MUZYKI

Światło na wizer, palące
Serce obciążone przez lasy nad głową
Szeleści nieba, trawy złota na wargach
Aby w milczeniu przesypywać
Aby dzień w milczeniu innego słupca
Aby pod rękawą pierśią biegać, szukać
Ust spiętego na stole, który otrzymał wiele
I teraz przychodzi na świat, w innym domu
Tęskni stawa wspomnień
I w nocy
Z nie śpiącymi na zimnym drzewie gwałtowny
Opada

Nocą czyściej

Światło na wodzie, pałace
Sennie otoczone przez lasy nad głową,
Szybkie nieba, trawy złote na wargach.
Aby w milczeniu przesypywać.
Aby dzielić w milczeniu innego słońca.
Aby pod różową piersią biegać, szukać
Ust śpiącego na stole, który otrzymał wiele.
I teraz przychodzi na świat, w innym domu
Pieśń starą wspomina.
I w nocy
Z nie oznaczonej na wysokim drzewie gwiazdy
Opada.

Orzeł w drodze

Skazani pod wodą
Uderzają w jaskrawy bęben przepowiedni:
Tańczą na dzień jutrzejszy
Przez całą morską noc.
Twórca głębin
Wydobywa z fali radość deszczu,
Szybko oddycha nad zimnym lądem,
Nagradza tłumy. Raz ucałowany
Czuwa nad rozmieszczeniem znaków
Na twojej słonecznej skórze.
Na ukochanej skroni przyłapuje ptaka —
Wieczność jednej leśnej pochodni.

I podcina mu skrzydła, barwne oczy na szlaku.
Aby mógł milczeć,
Nie śpi.

Cmentarz wiejski

Słyszemy kroki za skałą.
Słyszemy serce, groźbę serc.
Widzimy białych pasterzy
Na wczesnej łące. Idziemy —
Ślady z wosku. Idziemy,
Omijamy ich domy wśród drzew.
Wiemy, kto mieszka.
Wierzymy, słońce i dym.

Nad stawem trzeszczy kra.
Ponad tobą mówiącym
Z ziemi.

Orzel *Przedwiośnie*

Płacze to, co żyje
Z ręki wzniesionej
Na wodzie — nikt
Nie wie, kiedy się
Pochyli, aby wyśpiewać
Dymy o świecie umarłych.

I podoba mi skrzydła, baranie czy nie
Aby mógł latać.
Nie pi.

Spójrz na samotną

Wysokie cienie.

Wysokie tony.

Smutne oczy, wianki

Z piór.

Na okręgu,

W ciszy

Załamują się kości.

Koncerty kameralne

Ziemia i woda na zawsze
Objęci pod jesiennym drzewem.

O, korzenie.
O, węże wieczorne, szepce
Potykający się
Człowiek Drogi.

I przechodząc przez liście
Omija wzgórze, pomnik
Łagodnych powiewów.
I przechodząc przez tęczę
Omija rzekę, czas przeszły.
I zakochani wybierają
Miejsce na ciemnych ustach,
Aby dojrzeć tych,
Którzy się spóźniają.

Które powstają

W kuszeniu
Świętość się zamyka,
Pod dłonią
Zawsze chłodny kwiat.
Więc daj jej objąć to,
Co znika:
Ugięcie,
Kość zimną
I marzenie.

Tylko tam

Tylko tam,
Gdzie czeka ktoś inny
Niż ja,
To, co widzisz,
Powróci, aby umrzeć
W czasie, gdy czuwamy.
Ale nawet wtedy,
Gdy uwierzysz, że to,
Co przyszło — przyszło
Umarłe,
Nie będziesz krzyczyć.
Wierzysz bowiem tylko w to,
W co upadasz.

Widok z rzeki

Jak kamień
Ryba przelyka most
I oddala się brzeg.
Ponad iskrą płonie ptak,
Sieci i krzyk. Ponad sercem
Przelot zwodzi ślepcę. Ponad
Gwiazdą podziemia
Wieczny wznosisz znicz jak
Kamień.
I zmierzchy
Rzucone do ust
Spełniają
Twoją jasność.

On, poeta. On, we śnie

Aby krzak róży dalekiej okopać,
Przyszedłeś. Chcesz przemówić
Na ziemi.
Pozłacane nad lustrem kości
Oplakujesz.
Więc przyszedłeś na pewno.
Przyszedłeś, aby przemówić
Pod wieczornym niebem.
Nie umiesz żyć
Inaczej.

*To, co nad brzegiem
morza usypia*

Już noc.

Już po czasie,

Po czasie mówienia na skale.

Niebo wbija się w ruiny, biały ptak

Łączy się z gniazdem — plon jesieni:

Otulanie zmarłych,

Kołysanie świętych,

Pomyłonych na oku.

Na wodorostach

Sen o wodnej nodze i zapadniętej

Piersi. Obrót serca w piasku —

Godzina zejścia

Na łodzi.

Upoważnienie muzyki

Przez miasta wysokie,
Przez szczyty drzew
Dalekie niebo śpiewa jeszcze,
Abyś jej dom opuścił, abyś
W innym domu zamieszkał przy stole —
Innej drogi nie znajdujesz:
Piasek przynosisz we włosach
Z tamtego morza, z tamtego
Ogniska na trawie. I w okno
Patrzysz coraz mniejsze.

Nikt nie mówi, że kiedyś było inaczej,
Kto śpiewa.

II *Przedłużenie świata, I*

Dolem
Stroją cię bruuki,
I powieka pod słońcem
Pęknięta. Przestrzeń
Stacza się szybciej
Niż kamień. Inni stoją
Na moście z popiołów.

I przywołuję tych, którzy opuścili
brzocho, aby ślad po nich zaginał
I pozostają miejsca w łodzi, ciemniejsze.

III

Drincej przy brzegu śpiewasz w śnie
Lagodnie, aby powstał. Aby zatrzymał się
W morzu.

Przedłużenie świata, II

Opuszczone podczas milczenia
Skradają się matki żałobne —
Milczące przy wietrze
Wznoszą się na dłoni i szybują
Nad globem bezgłośnie oderwane
Od siebie.
Ty, złękniiony, odrzucasz
Głowy swojej pierścień
I zaglądasz madonnom w oczy.

Jawa przebudzonych mężczyzn

I

Kiedy śpisz, ciemne ptaki przy tobie
Jedzą. Ale wnet obudzisz się, aby
Gładzić ich dzioby — krwawe strony
Świata. (Kto raz zbłądził, nigdy nie
Będzie sam.)

II

I przywołujesz tych, którzy opuścili
Rzekę, aby ślad po nich zaginał.
I pozostają miejsca w łodzi, ciemniejsze.

III

Drżącej przy brzegu śpiewasz w sieci —
Łagodnie, aby powstał. Aby zatrzymał się
W morzu.

O piątej nad ranem

Szare niebo coraz niżej
Świeci. I podpala szczyty
Drzew w sobie. Lecz to, co
Widzisz, nie wydostaje się
Na świat, kopci. I coraz
Wyżej szare niebo gaśnie.

*Jest ptak
z obrotu tęczy*

I

Jest ptak,
Na słońce:
W czerni dymiącej na wodę,
Przez którą uleciał fali.

II

I obracają się kości
Na lot zagubionego.
Ku wiatrom w nocy.

III

I zatrzymał się
Na śpiew w obręczy.
I wysłowił ją
W nieskończoność.

IV

Jest ptak na Morzu
I okręt w sieci,
Księżyc.

Według psa

Spadające o świcie pasy snu.
W dali las — nie do upatrzenia
Bez słów.
Według psa to, co słyszysz,
Wypatruje ciebie z zasluchanego
W nocy serca: umowa kości.

Przepaść. W Górach Snu

Różowe wody gasną, różowe wody.
Opowiadaj oko niewyśpiewane,
Zasmucaj. Kamień spadający
Na szkło — pomyśl:
Już blisko.

Wyspa, kij

Obszary zamrożonych powiek
I twoje usta, wbrew Morzu,
Dymią między nami do snu:
Na długość gwiazd wielkie
Otoczenie grobów zapada się.
Na krzyż widzenia, z fundamentów
Ziemi Wysokiej —
Ty.

Przez drzewa na świat

Głosy o zmierzchu, hostie, ślady
Na wodzie. Nad ogniskiem upust krwi
Wycisza zwierzęta roczne, obszary
Dalekiego krzyku. W płatkach róży
I w księdze tajemnej dym z ogrodów
I pasiek sączy poźółkłe stronice —
Twarze oznaczone szybkim pocałunkiem.
Na miękkiej ziemi tańczą kobiety
Obląkane, lustra nocy niedostępne.
Srebrne zjawy podtrzymują ścianę
Z piasku, zielone obszary zamknięte.
I uginają się nieba wypatrzone przez
Liście, i opuszczają pejzaż wyznania
Śniegu. Dalej ptaki, ślady ust, losy
Zakochanych.

*Rzucanie śniegu na wodę
w nocy*

Z tamtego świata, pod krzakiem,
Dwa puste konie — znaki
Wylatują na północ.
Aż tak umarłe!
I przeciągają
Przez drzewa, gwiazdy,
Tę samą
Złotą uzdę
Na horyzoncie.

Zjadanie wiśni

Dębowe dziewczęta ostrzegają kamienny świat
Przed radością wieczoru — pocałunek
Sklóconych braci. W mroku skrzyń i soków
Wiśniowe oczy rozpoznają starca pochylonego
Nad sennym jeźdźcem, który przybył.
Płonący las przemawia w jego imieniu: przez
Uspioną wieś zimowe gwiazdy przetacza.
Tam deszcze osłuchane.
Tam noże we krwi bydlęcej stygną.
Tam ostre kości dla psa płukane w strumieniu.
Tam skargi umarłych przed burzą.
Tam suknie kobiet, księgi weselne.
Tam pieśni z ogrodów świątecznych o świcie.

Kamienny świat śmiertelnym otacza go cieniem.
Czyż nie czujecie jego chłodnych palców
Wbitych w owoce, w cisze plastycznych
Uniesień?

Tak uśpiewałeś

Tak uśpiewałeś oczy
Rozstrzygającej burzy.

Rozkradającej nocy
Wskazałeś rowy milczenia.

Przeszłość nieba
Uśpiewałeś dymiącej lutni.

Teraz słyszysz, że jesteś sam
I wchodzisz w to, jednooki.

KSIĘGA OBRAZU

Skł serc
Płonie w sta-
mieszach. Lecz
Tylko jeden walczy
Jeszcze na rewaliu.
I czerzy nizej tuzi

Wygasił
wszystkie lampy.
H. Michaux

I

II

Sto serc
Ponie w stu
Mieczach. Lecz
Tylko jeden walczy
Jeszcze na równinie.
I coraz niżej tęcza.

II

Cień morza
Na wysokiej
Skale — gniazdo
Niewyspiewanych
Złudzeń. Twoje serce
W zimie — obszar ryb.

III

Krajobraz
Oznacza północ.
Południe — ciszę
Okrętów. Wiatr
W ruinach — niedostępny
Szczyt,
Na zawsze. Oczy
W lesie włóczęgi —
Ściany, daleką drogę
O świcie. Powiedz — jak
Wróciłeś.

Muzyka, ściany
Luster. W ogrodzie,
Na wzgórzach, czas
Deszczu odmierza
Stulistną krainę.
O zmierzchu pejzaż
Z okiem psa — wody
Donikąd.

V II IV

Jest tylko
Jeden dom
Do opisania.
I ucho przebite
Na słuch. I to,
Co się zmienia,
Na północ — Zielone
Ostrza Snu.

VI

Słońce dzwoni
Na fali. Serce
Na oś, zasypia.
Oko przechyła się —
Łódź tonie.
Dziewczęta
Krajobraz
Wykrzykują
Na dnie.

VII

Radość burzy —
Zapach płonących
Zegarów. W ciszy
Gwiazd wdychamy
Opary powiek.
Spadające lustra
Powiększają
Znikającą
Zewsząd
Przestrzeń.

VIII

Krzyk srebrnych
Ptaków rozrósł się
W ciemności. Wewnątrz
Głos psa przesunął ziemię
W słońce: żółte serce
Na wypatrzonym oku jeszcze
Bije.

IX

Niżej gwiazdy.
Ciszej!
Niebo rusza
Czarne, sen
Usypia się,
Woda błądzi.

Obudzony
Nie myli się
Nigdy.

X

XI

Wydobycie
Dzwonów na innej
Ziemi opada. Płynię
Wykołysany z drzewa
Śpiew — poziom świata
Przełamuje na krzyż:

Dopóki trwają mosty,
Każdy może wrócić.

XI

Było niebo —
Zaczeplenie
Białych ptaków
O świecie. Były
Wzgórza zielone,
Wymyślone — w oku
Szkló. Był dom
I drzwi
Bez okien.

XII

Drzewo
Pęka w oknie.
Na inną zielen
Przelatuje czarny
Ptak z twojego snu.

Wszystkie obrazy
Uderzają o ziemię.

Z niesłychanego o świecie krzewu,
Jeśli obudzony jest tym, kochany wół,
Niesytzabnie staje się wokół
Delikatne szklówki dotkniesz.

Dziobem ostrym, jak kiedyś, oznaczy je
Pisk śliczny narozumy detaj. Albo ty
Krzykaniem w łaci mądrości ku skaj.

Mając pier wozę tło — taki est, gopioł
I przekłety tą chwilą, aby je usmieć.

Wspiewasz zjawy swoje w przepowiadnie, oszy

I

Z niesłyszalnego o świecie krzewu,
Jeśli obudzony jest tym, który widzi,
Niesłyszalnie staje się wokół
Delikatne szkło bez dotknięcia.

Dziobem ostrym, jak kiedyś, oznaczy je
Ptak nie nazwany dotąd. Albo ty
Krzykniesz w łuki napięte ku oku

Mając pierwsze tło — taki cel, popiół.
I przekłety tą chwilą, aby je uistnić,

Wspiewasz zjawy swoje w przepowiednie ciszy.

II

Na wietrze, bez łuku słońca,
Z rozwianej widokiem pochodni,
Na echach wysokich spływających
Skał — ku innym miejscom

W ruchu, bo nikt nie dotykał
Obszarów poprzez możliwe zawsze
Do przebycia raje znikających

Fal (obyś doświadczył!), po których
Nic nie jest stworzone — wonią

Płodzi się smak i głosom zawołanie

III

W spadającego powierzchnia się przenika.
Cokolwiek istnieje, już ma obraz wokół —
I odbija to, co trwać winno oszalałe.
I słucha po innej stronie okien

Niedokładnie, ale płynącemu stromo światu.
Albowiem nie przynależy do siebie
Całością, na wzgórzach ust twoich,

Którymi ostatni pocałunek wybrałeś —
Jego rozwój, ramię. I gest znika.

Tylko oko czterostronnie po tym trwa.

IV

Z wysokości podwiniętego jedwabiu
— żyje kryształ — ten krzyk spod dłoni,
Podmucha, malowidło. A później cisza.
I pięć umownie się odwraca. Spadła.

Gwiazd nie liczysz — do wrzenia
Spojrzeniem we wszystko się zataczasz,
Na przyszłość ucha wznosisz drzewo

Nie do wyśpiewania. Nikt nie wraca.
Niebo drzwiami zamykasz, słońce mu

Wykradasz. Nikt nie gra, nie słyszę.

V

(Ale nie muzyką, nie różą związaną!)
Srebro do blasku wnet lampie podpłynie
I pochwyci ją na pierścień dymiący pod
Twoją głową obdarowaną, pchniętą —

I ożyje bielmo. (Oko omija się i bardziej
Jest: do pierwszych śniegów ślubnych,
Utopionych pod złotem instrumentów, i jest

Zamknięte.) Spójrz — zbliża się echo
Dalekich kotłów, nadzy ludzie, gdy biegną,

Zwisające nad wodą zwierzęta w ukryciu.

VI

Ciszej kwiatom odśpiewało się
Światło. Białe niebo trwa.
I dym, dla którego panujesz,
I ogień, który gasi w tobie

Muzyka stamtąd, na kamieniu.
Twój znak znakiem koloru
Poruszony, a w sercu szkło

Przelatuje, bijące do snu,
Na krawędzi słuchu, który zatopił

Wejście do wewnątrz wędrujące.

Szkło, na dym gwiazdy podwójnej:
Poruszonej, otwartej, bliskiej
Wpłynie i zgasi ją — zdławi się
Blaskiem oparów. Z czarnego nieba

W zimie inne niebo do snu o świetle
Spadnie. Lekko — czarnym, znikającym
Skrzydłem ogłuszy tę, której wciąż

Nie poznajesz w przedłużającej
Rzeczy nocy i bezkształtnie odda się

Oknom. Leżącej — różowy dusiciel.

VIII

IV

Niespotykanym słońcem w zaspach,
Mrocznie wśród okien zaproszonym,
W niewyspiewanym ścięciom kwiatów,
Oknem przez usta i wciąż o nim.

Skrada się obłok — widmo, kaftan.
I ten, gdy wtańczysz obrót głowy,
W sennie — pochyłe wędrowanie,

Nieopisanym z ruin morza,
Toczącym ciało nawet w kamień,

Lekko odchyli się w spadanie.

Niebo jest w nocy. Przez
Kulejące wokół cienie pod
Znakiem pełni, lecz
Bezwonnej, gwiazdom podgląda

Szybką przestrzeń
Nie wywyższoną nigdy nożem
Wzlatującego w lampion —

Strąca, ten ujrzał wszystko.
I tak zostanie. Innym zjawi się

Snom, nieosiągalnie.

X

Do dna, z którego gaszą lampy
Soczystym od noży owocom,
Drży ciało złożone na krzewach
I usta otwarte do kości.

Do wewnątrz swą mocą, żalobą,
Dźwiękiem rozbitych już części
Przenosi swe życie pod ogień

Z oddechu szklanych krawędzi.
Na zewnątrz głowę wyrzuca obłokom:

Na zawsze obwodem jest tęczy.

Gdziekolwiek wewnątrz, poza
Światem, przed zmrokiem luster
Odwróconych — kwiat nie jest
Różą, ale róża kwiatem — sen

Nas usypia i słucha potem,
Jakby się wcześniej nikt
Nie narodził. I usta gwiazdy

Potrącają szeptem ku wzniosłym
Lśniąc rzeczom, aby je ukończyć.

Krajobraz trwa nieporuszony.

XII

IX

Puste drzewo wypełnia się srebrnym
Nożem, wzrokiem, zegarem. Pies
Odmrznął na chwilę, skruszył się.
Powróciły czarne ptaki, gdyż chcą

Odzyskać siebie — wstukują lustro
W szkło: biała suknia zaciąga się
Ciemnością. Ktoś bezpowrotnie

Wykrzykuje krzyk: Ogień gaśnie! Oto
Stoisz przed domem śpiącej, a gdzieś

Tam twoje ślady trzeszczą na wodzie.

XIII

VIX

W oku widzisz potężnie albo
Różę daleką — upadłszy, nigdy
Nie zaznasz spokoju pod jej
Miękką w skupieniu powieka,

Jeśli zechce do ciebie mówić
Taką pozostanie i uniesioną,
Dla której nigdy nie byłeś,

Kobietą będą nazywać,
Chociaż imienia poza kolorem

Jej nie ma. Dlatego poznałeś.

XIV

III

To krzyż stojący w oknie.
To wiatr przystępujący do
Jej ust. To kamień wpadający
W huk. To strach dostrzegający

Zgliszcza powiek. To płacz
Przesuwający poręcz snu. To
Brzask — wyjście z domu w ciszy.

To ty, albowiem nie zbłądziłeś nigdy
Na niczyich schodach, widząc to

Przez chwilę, w następny świat.

XV

Znieruchomiałym brzegom śpiewało
Na wygnaniu drzewo — aż porwał je
Wiatr. I złotooko omilczane
Zgonem tamtych lat, ku życiu

Runęło zapomniane Morze. Tak
Jarzy się jawie, w której
Więzione smutnie wierzą ptaki,

Że takim tylko dla ciebie
Zostanie śladem ich przelot.

I śniegi gdzieś tam leżą.

PROCH

Czy byłeś tam, skąd nie powrócił dotąd nikt?
O ty, pytający w swym marzeniu o królestwa spadające wiecznie pod wiatr! O ty, szukający rytmy i przysławienia!

Spójrz, zawieszoni pozdrawiają tylko ciebie pod osłoną nocy, głębia brwi i ust!

Czy słyszysz to otwartcie? Czy słyszysz ten głos?

Jakim więc pęką, wstają się

Czy płaczesz?

Ty odnajdujesz, ty oszukujesz! Ty kochasz ogień i kochać wypieć w ciemni łez. Ich suknie, ramiona i oczy strzęga nieopiewanych zawiad: drżą ptaki zburzone w locie przy ziemi u twych stóp.

Opowiedz się! Słoga popieł!

Ciepła iskra do ręki kłóci lierre i rozpala dnie,

Wzrost, nie szukaj brzoj drogi roz-ia.

W mka now nie słyszysz, nie widzisz *albowiem pomarli ci,*
Głazda idzie po gwiazdę *którzy szukali duszy dziecięcej*

Wzrost swoją twarz. Świttem zabierz świat. Mateusz II, 20

Wzrost, i obudz się tam, we śnie. Stróżom wszystkich
Kłóci pod jej swoje wargi: — niech odbeda się nieba.
Niech płonące wozują cie skargi!

I

Czy byłeś tam, skąd nie powrócił dotąd nikt?
O ty, pytający w swoim marzeniu o królestwa spadające wiecznie pod wiatr! O ty, szukający rytmu i przyśpiewania!

Spójrz, zawieszeni pozdrawiają tylko ciebie pod osłoną nocy, gładzą brwi i usta!

Czy słyszysz to otwarcie? Czy słyszysz ten głos?

Otchłań wciąż pęka, wzbija się.

Czy zdążysz?

Ty odnalazłeś, ty oszukałeś! Ty kochasz ogień i kobiety uśpione w cieniu łez. Ich suknie, ramiona i oczy strzegą nieśpiewanych zawołań: drżą ptaki zanurzone w locie i drży ziemia u twych stóp.

Odezwij się! Sięga popiół!

Ciepłą iskrę do ręki ktoś bierze i rozpala dnie.

Płyn, nie szukaj innej drogi niż ta.

W taką noc nie słyszysz, nie widzisz, nie czujesz.

Gwiazda idzie po gwiazdę, czasem w tobie ustaje:

„Zaśnij swoją twarz. Świtom zabierz świat, który zobaczyłeś, i obudź się tam, we śnie. Strażom wszystkich gniazd podaj swoje wargi — niech odbeda się nieba!

Niech płonące unoszą cię skargi”.

Wciąż idzie ktoś. Ale nie waha się umysł — pieśń zarzucona jak brwi, nie kończy się i nie zaczyna.

„W moich ustach ujrzysz pisklęta dalekich orłów, obudź mnie! Chcę, abyś je uwolnił. One kaleczą, czekają”.

I obsuwa się ramię złote. (Sarna bezgłośnie uchyla swą sierść: Wejźdź, mówi. Niechaj ogłuchną we śnie ci, którzy nigdy nie będą wysłuchani.)

Tak płoną opuszczone w dzieciństwie powieki.

Twój krzyk oznacza nowy dzień.

Przed nami Ciemna Równina. Pochylone nad dalekim lasem zamrożone niebo milczy. Dalej, nad skałą lodu, czarne niebo przyśpiesza tę samą noc — dla obudzonego. (Mówisz: widziałem kamień, oczy i szkło. Myślisz: połączone na zawsze.)

Tylko zagubiony zamieszkał. Teraz śpiewa w łodzi srebrnej, mocnej przy brzegu: „Śpiewa w tej pieśni ktokolwiek. I czeka, i musi popijać”. I coraz wyżej staje się w nim krzyż. I liście białe.

O, zmierzchu, mówi on, on — proch: oto początek ciebie.

I wydostaje się na świat każde rozproszenie. Powiedz, o jakich kwiatach myślisz? Czyim śladem, tam gdzie zawsze, przelatujesz, przelatujesz?

Kto widzi na północ, wydobywa z siebie tego, którego zobaczył, na światło. Jak kamień.

Mojej głowy strzęp rozbarwiony, mojej głowy strzęp

nieskończony — ach, widziałem to, przesiaduje w ramionach jesień.

A ty zamykasz swoje oczy i mówisz: „Wejdiesz tu”. Ale my rzucamy ciebie i ty jesteś naszą tajemnicą. Dlatego nazywamy ciebie stamtąd. I ty chcesz modlić się. Ale my chcemy twoich ust! Lecz twoja samotność ma swoją gwiazdę, tak jak nasze gwiazdy i twój krzyk przemijają w naszych palcach: „Dlatego, że uczyniłeś nas swoimi ramionami — jesteś sam. Dlatego, że uczyniłeś nas swoimi rysami — jesteś smutny. Dlatego, że my uczyniliśmy ciebie naszą pieśnią — nie obudzi ona ciebie nigdy”.

Lecz ja wierzę, że kiedy powiemy twoje imię, będziesz tęsknił. I wtedy zobaczymy twoje ciało.

Głosy przez sen i postacie przez sen: Mężczyźni w czarnych strojach na czarnych stołach odwracają się na czarną noc, bez pożegnania. Tuż nad ziemią przelatuje nóż zaostrzony w Pełnym Morzu — rozprasza ciemność i głównego bohatera.

Zasypiałeś, więc widziałeś na pewno. Prześroczyste pamiętasz.

Tu, sam, a gdzie indziej samotny linię i ziarno, i przekwitnięty wieniec złożony u stóp dziecka wołającego w słońcu gwiazdnych ruchów, przekazujesz Geometrom Nieba, zamyślonym nad każdą ścieżką prowadzącą w Błędne Skały. (Drzewo przygląda się w wodzie i traci kontakt z wysokością, starzec w swoich dłoniach roz-

grzebujących ziemię, która go pokrywa, chłopcy w przedmiotach podłużnych, obciążonych mgiełką, kobiety w talerzach, psy w oknie, orkiestra w kuflu piwa). Leśne zwierzęta w drodze przez Wyschnięte Wodospady oddaliły się na północ. Tutaj trzask i rozkraczenie się drzew to przeszukiwanie świata na ziemi.

Jak pierścień przekazany o świecie znikają konie osiodlane we mgle. Nie żądaj niczego więcej — o zmierzchu oddali się widoczność i chęć jej ujrzenia. Odważ się, twój proch przelykamy, twoja postać wciąż nieruchomieje! Sto kobiet chce tańczyć przez sto dni, stu mężczyzn chce grać na stu instrumentach! Być może pochylili się nad tobą wiatr ukryty w skórach zwierząt. Być może powrócą głodne psy Akteona — któż odważy się polować? Być może pewnego dnia sarna wyprzedzająca śmiertelny pocisk powróci z nim i przemówi do ciebie twoim głosem — któż jej wysłucha wtedy? A w czasie uczty hasłem do śmierci nie będą podane owoce, lecz uśmiech kobiety, która nagle zamieniła się w dłoń! Być może właśnie tego dnia, kiedy umilkną wszystkie orkiestry świata, ktoś krzyknie: „Niech zatrzyma się ptak! Niech mówi ostrze!”

Przeskakując z jednej półkuli na drugą — wilków nie pytaj o godzinę, kata o drogę, kobiety o geometrię. Legenda mówi, że kto raz stanie przy swojej samotności i zasłoni swoją twarz budząc lęk, ten nigdy nie dowie się, dlaczego niebo nad nim kolor ma zielony. (Lecz on nie przechyliła się, nie zaskakuje ruchem rąk jak

grający na instrumentach, mający oczy wciąż zamknięte. Nie poddaje się biczom łaski, lecz przerażenia: sto wiatrów przy jego głowie, sto potajemnych westchnień.)

Płonie dom bez okien, ponad wysokością. Nieśmiertelny.

Wbijają gwoździe, śpiewają: „Być może jeszcze raz zamieszka w tobie chłopiec o zielonych oczach i zaraz zaśnie. I kobieta, bawiąc się, znajdzie w nim kamień o niebieskich splotach na sercu. Bo jeśli pobiegnie przez łąkę na twoim grobie — nie zatrzymasz jej, a ten, który zamieszkał, szybko wypowie imię matki nad twoim zimnym ciałem”.

Teraz pozostały ci tylko dwa palce, którymi zapukasz. I on także musi to zrobić, żeby żyć. Tak śpiewa się latem.

Szczęśliwy, kto powrócił, gdy inni jeszcze spali.

W cichym zmierzchu nad miastem szumią koła — widzisz te koła straszne: polowałeś na wodzie, słyszałeś na moście, ogień zawsze gasiłeś o świcie. Zmysły przed tobą — wiesz, co to jest. Ale twoje myśli śnią wyjście, opuszczone pod drzewem kości, krzyk do umarłej.

Przejrzystość, moment nieuwagi.

Dym, kolor w ciemnym pokoju. Na błyszczących przedmiotach — srebrne róże. Z grobów szarych, kołysek pod szkłem — ciche pająki na ścianie z piasku. Niżej —

zapach ręki gorącej, napisy na drzewie, długie serca, ryby na ogień. Wyżej — zapach fajki nad wodą, rzut sieci. Tylko słuchanie zegarów przemija.

Twoje oko ruchome — odważ się. Czas istnieje na dole i cofa coś niepojętego: to, co będzie.

Sto batów zanurzono w Stu Morzach — ostrość widzenia przekształca tylko tę chwilę! Nieuchwytna ręka uderza w czarno-białą przestrzeń. I gaśnie wszystko, i zapala się: pocałunki, szумы, słowa i usta, wiatr, ptaki i oczy, tętna wznoszące szepty, stosy, niebo coraz mniejsze. Między drzewami — lek na złe spojrzenie, złote wianki, wysuszone nad ogniskiem dusze. (Kto krzyczy w ciemności? Kto śławi dłonie zaczepne i przesuujące mrok?) W ponownym rozbłysku ogni ci, którzy wysmutnili swoje wnętrza patrząc — tylko Nowy Dom Chłodu odnajdują.

Jasność a przejrzystość zapewne, jak pochodnie pędzące w mokradła, płonie uniesiona przez mózg!

Czy inni śpiewają we mgle? Czy rodzą się osamotnieni?
Czy rodzą kogoś złego na skale?

Wyżej ogniska! Wiatr potraça dziwnych tancerzy!
Wszyscy wymykają się snom!

My, na wzgórzach, przytupujemy uwięzionym kosmosom!
(On, widząc zaledwie, czarnej chmurze będzie śpiewał, oślepiiony).

Gdyby któregoś pięknego dnia jakiś młody człowiek mógł opuścić swój dom i zanurzyć się w rzece, nad

którą smukłe dziewczęta zaplatając puszyste warkoczki mówią o miłości, i gdyby jedna z nich nagle wstała i nie czekając ani chwili podpaliła swoje włosy, wtedy on krzyknąłby: Ach, muszę zobaczyć to z bliska! Ktoś inny nigdy nie dowie się, z czyjego domu wyszedł.

Szaleniec: Wołałeś mnie?

Bóg: Tak, Panie.

Szaleniec: Wciąż dym i ogniska zamrożone, wciąż dym.

Bóg: Wywieszzone na wiatr suknie i wstążki, i Różowe Nieba gasną.

Szaleniec: Cała zewnętrzność rozpada się na mrok.

Bóg: Z ptakiem w nodze, z palcem w rzece, z krzykiem, na szczyt nie możesz usłyszeć siebie, wysłuchanego.

Szaleniec: Wiem, że znajdę Nieba Czarne i stojącym na moście wskażę Dom.

Bóg: I powiesz: „Zbliźcie się senności, gdyż chciałbym zachować pamięć”. Wybrałeś bowiem oko, ten dół.

Szaleniec: Niech przemówi ten, który płynie bez wiosel, gdyż nikt na niego nie czeka.

Bóg: Niech umilknie ten, który poznał!

Szaleniec: Niechaj słyszy ten, który poza światłem dostrzegł twoją śmierć!

Bóg: Już tak mówiłeś do śpiącej...

Szaleniec: Ach, i nigdy nie obudzą się twoje kości!

Bóg: Bądź tym ożywiony.

Szaleniec: Nie myli się ogień!

Bóg: Dlatego twoje usta świecą.

Szaleniec: Albowiem wołałeś mnie.

Bóg: Tak, Panie.

Szaleniec: Oto dym!

II

Ach, niebo, powstrzymaj się!

Niepokojąco w drzewie śpiewa ptak — usypia zaostrome nad ziemią gałęzie. Na słońcu, jakiś inny głos — szelest dachów błyszczących albo pocieranych o metal szkieł — już teraz oznajmia przybycie wczesnych godzin wieczornych długimi, lejącymi się w trawę cieniami. A i te niebawem znikną i ziemia wydłuży się jeszcze bardziej, w nieskończoność, po łuk drżącego różowo horyzontu — jak wywinięte dla zabawy powieki. I zgaśnie na chwilę, i zapadnie się gdzieś tam, na wysokości jelit i poźółkłych od światła robaków. (O kobietach zaokrąglających nasze zmysły — lawiny poza tym, że śpią obok nas z otwartymi przez całą noc snami i uśmiechają się do ukrytych pod oknem wnętrzości, nic więcej nie wiemy.)

Dla nielicznych, dla tych, którzy nie słyszą w zamkniętych nad rzeką ogrodach echa spadających w powietrzu ptaków, jest to taki czas, kiedy stojąc pod ścianami swoich zadymionych domów, zaledwie widzą ich wędrujące na wietrze gniazda i nie muszą uciekać, czując przecież w sobie zapach prochu i ostrych noży. Dlatego wciąż lampy gaszą, aby krajobraz, który właś-

nie teraz przepływa na dole w poderżniętych na piasku gardłach, wyprowadził na wysokie rozczepienie dnia, przez ruiny ich późnej młodości, tęczę jednobarwną jak odcisnięty na śniegu ślad, aby powierzchnia wody opływającej ich długi sen znikła razem z ruchem rąk tego, który dalej płynąć nie może — jak ogień na drewnianym ołtarzu, jak wirujące pod szybkim okiem złotnika krzyże i obrączki.

I teraz, pod ściętym w południe drzewem, w cieniu zerwanych ze Złotego Łańcucha czterech czarnych psów, kiedy wydawało się, że krzykniesz do zielonej jeszcze gałęzi: „Kierunek świata nieskończony”, chcąc widzieć lepiej to, o czym inni chcą mówić zaledwie — w twoim życiu wybuchł nowy, niepokojąco jasny dzień.

Powitanie nieznanego, który przyszedł

I

Więc przyszedłeś.

— Jak rozpięty na łuku wiatr drzę o przestrzeń zaprzyjaźnioną jednym celnym strzałem.

O, unieś go, unieś między oślepienie.

II

„Wilki biegnące przez las potrząsają sierścią nad każdym wznoszącym się potokiem i powracają na Równinę tym samym, zagubionym śladem”.

Ach, twoje **oczy!**

To, co gaśnie dla ciebie

Zegar zatacza się na deszczu obok twojego snu wewnątrz, z widokiem na ziemię uniesioną raz na zawsze. A ty mówisz: moje usta były, moje usta i twoje oczy donikąd. Teraz wchodzą w to czarne buty wysokie.

Zawsze ty, zadymiony węžu. Zawsze do ścięcia.

Dlatego pod twoim oknem krzaki wędrują w pożary innego snu, zasłuchane — zaklęcia burzy do wewnątrz. I konie zagłuszają słońce. Teraz idź i zobacz na wodzie Inny Dom, coraz dalej i dalej. Tam niebo szare i zamrznięty staw od wielu dni nie pęka.

Wieczorem stoimy objęci w Morzu. I czarne ptaki znikają — wędrują ode mnie raz jeszcze, wysoko w tobie. I wszystko jedzą, i słyszą.

W nocy, w nocy znowu idziemy. Podziwiamy krzyki. Kwiat wiśni rzucamy na gnój. A ty chcesz mówić.

Inni błędzą straszliwie długo. I plują ze snu do snu. I wpadają w to.

Dzieciństwo

Deszcz opadł, gwiazdy wyleciały w górę. Czasami jakiś ptak wyjątkowo czarny znieruchomiał na błyszczącej

gałęzi, czasami filiżanka zielonej herbaty, czasami białe drzwi i głos psa w Różowym Pokoju, w Ogrodzie Liści i Dziewcząt — wreszcie ogień za ścianą z piasku. (Wewnątrz pasmo robaków wytoczyło się z obrazu lustro — ruiny wyjedzonych ze złota kamieni. W plecach dwa białe koty rozdrapujące trzy posiwiałe jabłka z wyhodowanymi na dziwnym soku owadami — szklane serca pajaków w nocy. Tuż nad głową srebrny nóż w korzeniach myśli. Pod oknem iskrzą pocierane o siebie usta — drwa.) Wokół niebo. Woda spływa na krzak dzikiej róży, na świecące ostrza butelek i talerzy. Dalej dym, gołębie i szmaty: w rozkołysaną sennie przestrzeń wpada oko lekkie, zaproszone tęczą spiętrzających się w słońcu dachów. I nagle inny świat wydostaje się obok — okrzyczane w nocy zwierzęta tracą czas nad jedynym wyjściem: i staje się odruch ssania.

A ty powiadasz: zagubione. I chcesz je ogrzać w zamknięciu.

Jesień

Dwa palce w sercu głębokim i cztery liście we włosach. Jaką drogę wybrałeś? — Tunel róż.

Droga przez śnieg zasypia i głos stamtąd: jest las, którego nie ma.

Drzewa w ptakach czarnych tulą się wysoko. Most

rzekę zdobywa — szlaki oblodzone niebieskim spojrzeniem, widokiem.

I przesuują się nieba dwa zimne. I kołyszą ziemię dwie przez chwilę.

Sen w ruchu płonącym

I

Ostatnie niebo nad tobą zrównane. Rzut ptakiem wybucha i gaśnie w Domu Bez Okien. Sen o wiosłach wypływa z łodzi bezbarwnej. Niebieskie złudzenie, że utoniesz, to wymysł kamieni.

II

Zapach świecy o świetle. Ciche powietrze zapala się — słońce i las. Zimne palce, jeszcze uwięzione w stawach, nie przechwytyją ruchu powiek — zmysł ognia wędruje przez skroń. Zapach dziecka przekwitwa w róży z wosku.

III

Ostatnia noc nad tobą. Ach, odwróć się, odzyskaj tę moc przenoszenia! Odzyskaj moc linii, marzenie o zupełnej ciemności wyjścia! Wyobraźnia nie znosi wilgoci. Nie krzycz — jestem zamknięty! Słuchasz pukających do drzwi — jesteś otoczony. Nadchodzi zamieć ust.

Pod wiatrami

Huk w czasie zieleni wytrąca zagubione pod słońcem gwiazdy, otwiera dłoń śpiącego w piasku. Cień cofa się w oku czerwonym. (Wiatr podciąga je wyżej, ciszej.)

Nikt nie nazywa owoców na dzikim drzewie. To, co zapamiętałeś przy zbijaniu desek, na zawsze pozostanie w palcach. To, co teraz widzisz, przechodzi przez las — ale tam kije, ptaki.

Morze nie budzi powracających na brzeg. Nikt nie łąwi. Pod stopami ślady, muszelmki i proch.

Trzy palce w sercu rozpraszają sferę pośmiertną, chociaż uderzenie powtarza się na jego osi.

Czarny ptak w zimie — wysoka muzyka w cieniu. Ach, wysłuchaj go, nie jesteś gotów w słońcu!

Przepowiedziałeś ziemi dół, dali — las. Dzisiaj złote oko wypróżnia się na dymiące kamienie.

Tu i tam śpiewa jeden ptak świąteczny, abyś powrócił. Zawsze tu i zawsze tam.

Nikt nie myli się, wznosząc.

Echo

I

Światło gaśnie — dom znika. Po drugiej stronie — tylko noc: ptak ciągnie za sobą przeźroczystą, osmoloną po bokach chustę. „To słońce spływa!” — krzyknąłby ktoś pochylony nad zimnym piaskiem. Ale nie ma już tego, który wędruje. Wyciszyło się w Morzu, wyciszyło się w cieniu drzewa, na łące. Tylko fale przechwytyują jeszcze klosz węgla zmieszanego ze złotem i topią się o świcie.

Zatem różowe niebo wskazujesz w powietrzu i mówisz: „Dosyc, dosyc widziałem. Byłem obudzony jak ktoś piękny, gdy zasnął przed pierwszym pocałunkiem”.

II

Pierwszy śnieg popłynął. „Bądź spokojny, inny świat wydostaje się obok. Właśnie zapadają się oczy niebieskie i wkrótce usłyszysz cały widok” — szepcze osłuchany w płomieniach dym.

I nagle uspiło się, przekołysało. Zanikł odruch poznania w ciemności — śpiący przekroczył granicę zmysłów, omijając rozgrzane do połysku stroje i powozy.

Pożegnanie deszczem

Czas jest kotem słońca. Puszczam go!

Śpiew ptaków na wysokość dnia rozprasza powierzchnie
lśniące — usta i kwiaty, we śnie.

Dwa palce w chmurach — szybkie serca kochanków
na dole, przeciekają.

Szare niebo zatacza się w oku psa. Wysokie drzewa
opuszczają ziemię pod wodą, zakwitają raz jeszcze na
kregach światła, w sieci.

Dzwony ogłuszają rzekę z mostem, wędrują na echo
skał.

Śpiące dziecko dostrzega sen mężczyzny przed łonem
kobiety, gdy ten cicho zapłakał — kołyski deszczu.

Oko, rozbawione płonącym kołem nieba nad głową
wyzłacaną oklaskami burzy i wiatrów, przedłuża się —
zawsze oblodzone.

Poza muzyką

I

Był most, na którym ktoś został. Była rzeka, w której
ktoś płynął. Była droga, której ktoś szukał. Nikt jednak
nie był sam — psy po dziś dzień nie odnalazły tropu
wśród drzew. Zmieniały się tylko ich oczy — z każdym
dniem coraz bardziej niespokojne, z każdym dniem co-
raz bardziej czyste.

II

Las zdązał szybciej. W pomruku wielkich traw, ponad pieśnią niesioną przez wiatr był świat, w który nie wierzył nikt.

III

Dzisiaj światło, które wznosisz — ustaje. Oto serce gwiazd: nie broni się! I tam zawsze krzyk, i śpiew, i gest. I wydobyć noży na blask. (Kobiety wypowiadają jedno słowo.)

I poddaje się róża: I ogień widzi. I umiera twarz.

Przeciw chórom

Słyszysz z daleka ten łamiący się most, tę pieśń słyszysz przeciw drodze w powietrzu. Ach, jesteśmy sami, mówisz, i jest wieczór — pora liści.

Dym od Morza nad głową z kamienia przeciw ustom z soli — ale w co wierzy? (Dawno wróciłem. Teraz powtarzaj ty, leżąc: przemawiaj nad moimi zmysłami w ciemności. Nic więcej nie mów.)

Słyszysz ten szum z daleka. Jesteśmy sami, tam. „Skorzstałeś z lasu w pamięci, nazwałeś sen w południe. Słońce ośmiesza cię”.

Poślubiłaś nieznanego, który śpiewał.

Księga śniegu

Noc pomnaża osłuchanie deszczu i drzew o inną wysokość okien, a wykołysane na zmierzchu suknie i oczy opowiadają stopom przelot liści: „Jest wiatr i krzyk na słońce, i kwiaty ścięte szkłem”.

O, zmierzchu rowów, śpiąca wdowo — nie wiem, kto śpiewa ani też czy drogę, którą przebył, umie wspominać tak jak ty — oparta o jesień.

Koronacja drzew przedłuża się. Po innej stronie przywidzenia podziwiamy rybę w szklance i dymiący las. Poza światłem odmiany nie będzie!

Nóż podpatrzony na gardle z wosku skraca Cały Posąg Uroczystości, przed którym nie powinniśmy się widzieć.

Gdy będziesz wracał, wysokim ptakom napisz: „Oto usta moje osuszone, przepalone na śpiew”. Gdy zatrzyma się ziemia, oceany ruszą na szybszą przestrzeń.

Ten tylko, kto łąkę przekroczył w rzece jak ptak, kamień — pozostał w niej.

Jest tylko to, co otwiera ciebie — ty jesteś tym zamknięty.

Powiedz słońce i zamknij się

Dalej drzewa zakwitające na biało, rowy, kamienie.

Wieczorem lampa, pod lampą stół — cztery noże wbite w długą ścianę czarną: Zielony Pokój zamknięty. A ty mówisz: znaki nie znaczą na ziemi, i jedziesz dalej, i obsuwasz się w to czymkolwiek. Ale tam, na horyzencie, nikt nie jest tak piękny, jak ten, który nadciąga ze Skał. Oto widzi teraz i słyszy, i potrafi obudzić biegnące ci na spotkanie zwierzęta-ptaki. Jego usta, ach, jego usta-zakłęcia, nie wypowiadają jego myśli, nie błędzą nad żadnym czołem drżącym — on jeden bowiem nie narodził się po to. To, że teraz przybywa, nie ma żadnego związku z jego pojawieniem się — on jest, a ty we śnie nie umiesz krzyknąć tak głośno jak ja. I tracisz czas, zasłaniając swoje piersi zimnym dzieckiem. Dlatego on pochyla się już teraz nad jego małym, dziewczęcym sercem i mówi: „Nie oddychaj tak szybko, nie oddychaj”.

Kimkolwiek jesteś o świcie, spójrz — nikt poza tobą nie mógł czekać tak długo. Zasluchaj się: wody same ciebie szukają.

I nie mów do mnie, tak jak ja, zbyt późno.

Obraz biały

I

„Głowa z piasku zawieszona. Dziewczęta tulą się do siebie w cieniu łagodnie pochylonych drzew, szarymi

bucikami stukają o ziemię. I ty, który przybyłeś, cudzoziemcze, zapamiętaj: tutaj nigdy nie kończy się pieśń”.

II

Uwięziony wśród skroni, milczy dzwon. Ty tak oddychaj! Gdzieś w samotności posrebrzany koń unosi jeźdźca. Jedynie bogom znany pieśni koniec, nocą do hymnu nawykłej, on już o zmierzchu nuci.

I nikt nie wie, że on zdaży.

I postać jego tylko cienia dostaje koronę.

III

A spowiednicy, jaki ślad zatają wezwani jutro?

— Złote łańcuchy, złote.

III

Wysokie rozszczepienie

I

Dzwon skończył Wieżę — różowe światło odleciało w żółte, skruszyło się do słów wypowiedzianych na twoich zimnych ramionach, w cieniu i obłok wzroku przesunął się na wzgórza pokryte szklanym wiatrem. (Twój uśmiech i twoja krew. Ach, umarł na długo.)

Nowa reguła przypadku powraca na rzucie sieci: spada krzaczasty dym na ruch pod wodą — myśl rozszczepiająca kości na maszt.

Na skalę instrumentu — idea potopu, który stworzył nicomość z czegoś, co pochłonęła zbliżająca się fala, wzrok. (Wiem, jak zgęstniała na słońcu ciecz. Krople deszczu wydłużają się na inne światłoskupienie.)

Okno zamyka się, czas na echo — upływa.

Nie mylisz się: na krzyż! (Zawsze teraz na krzyż.)

Kwiat. Ziemia. Kwiat.

Niebiesko — to słowo.

II

Długa noc bez dotknięcia. W ukryciu przypala się świeca, do wewnątrz. (Most na rzekę spływa. Czy zdążysz?)

Ktoś, kto przychodzi do ciebie, nie jest tym, który się ośmielił — jeśli teraz nie wskażesz mu Domu, jutro powróci dla tej samej chwili.

Przeszłość nieba i skosy świata pochodzą ode mnie!

Oko w pełni to niebezpieczeństwo koła — musisz je pochwyć, gdy światło zgaśnie, poruszone.

Dalej staje się tylko to: jakiś ptak do zdmuchnięcia.

III

Poznałeś tajemnicę rzeki:

urodziła dwa mosty, dwa łądy, dwa źródła i rybę na dębowy stół, i łódź bez wiosła, abyś płynął — widok w ruchu i kobietę oczekującą z wstążką nieba w południe: niebieską, czerwoną, białą i czarną, abyś kwiaty i włosy związał zawsze, i sieci, które suszysz przed domem z piasku, i człowieka wyrzuconego na brzeg (tego, który ukochał kamień) i tych, którzy wybrali ogień i teraz ścinają las na skałach.

I poznałeś doskonałość rzeki:

przełamała bowiem koło i powstał ruch na łądzie. Od tamtej pory zegar opóźnia każde spotkanie.

IV

Na wysokiej scenie czasy nieuniknione — Północ.

Śladem dzikich zwierząt, przez górskie cmentarze, wyprowadzasz gwiazdy na obszar wodny, zamrożony. Tak wygięta jak rozkosz jest przemoc marzenia nad szybką ciemnością.

(Jest kwiat, którego się uczę, i włosy rozwiane na dziecinnej twarzy, różowe. A ten, który umarł młodo — powraca z kijem.)

Żółty ptak z Księgi Jesiennej przelatuje tuż nad głową — srebrne cienie pochylonych nad ziemią skrzydeł toną.

Serce to życie potrącone. Nie wymkniesz się wodzie
w ciszy.

W domach wiszących nad światem opóźnione święto —
ogniem znalezionym we śnie wymachują ogniska z od-
ległych epok.

Pół oka zapadło się w oko zamknięte.

V

Łodziami zawijać —
tak zawijać ostatnią porę widzenia, tak padając naginać
po huk dym!

Łukami rozpinać —
tak rozpinać wnętrzości napięte stworzenia. I gasić je,
gubić.

Dobrze ukryte dla wczorajszej nocy są dzisiaj szare
skrzydła nieruchome, dzięki którym jakieś ciało dotąd
nie znane — niewidzialne, skurczone mogło wędro-
wać i wędrować. (Ślady śpieszą się na wodzie.) Cień
utrzymał je na ścianie, gdy zasypiałem, i pochylone
nade mną zwierzę obudziło się. (Odrzuciłem cię, Księ-
go, w podpalone przed snem instrumenty: niech ogień
odkształci ten pokój, w którym wypróżnia się oko, a
stare struny niech zadrzą nad moim zwycięstwem.)

Łódź płynie, albowiem dla niej wróciłeś na Równinę.
(Mlaśnieńcie horyzontu: widziałem usta uczerniające do-

tyk i dalekie obłoki połączone do rozproszenia — co
najwyżej rozpadające się szkło.)

VI

Jesteśmy sami, tu — gdziekolwiek w nocy. A więc
przyjmij mnie takim, jakim mogłem być. (Wciąż oczy
zamknięte.)

Ptak, bezimiennie samotny, usłyszał imię swoje. — Za-
trzymaj się.

Na głębokość odcisniętych śladów biją serca nie naro-
dzonych: „I sen przez dym na krzewach potrąca kwia-
ty, których nie ma”.

Od tej chwili różnimy się czasem, który minął. Jakby
nas nigdy nie było. (Wodę porywa wiatr.)

Zawsze zegary spadających ptaków.

Krajobrazie mojej czujności, podchodzę. Wiem, że ty
również przybyłeś potajemnie.

Lete

Przybyłam tutaj, aby powiedzieć: to niebo nie tknięte
żadną z tych, które minęły nocą, niebo wysokie.
Wiesz, skąd przybyłam — chcę cię wysłuchać, zanim

mnie zobaczysz. Chcę wskazać ci to miejsce z dalekiej
przełęczy, abys mógł je udźwignąć, chcę ci je wskazać!
Chcę twoim ustom pociemniałym opowiedzieć, bo tylko
one zapominają: obys mógł je rozdzielić wewnątrz.
(Wiem, że kiedyś stamtąd powrócą.)

I to połączy ciebie ze światem — jestem.

Teraz zostaje ci tylko wyjście morskie.

Bądź nim,

Nietknięty.

SPIS UTWORÓW

UPOWAŻNIENIE MUZYKI	5
Nocą czyściej	7
Orzeł w drodze	8
Cmentarz wiejski	9
Przedwiośnie	10
Spójrz na samotną	11
Koncerty kameralne	12
Które powstają	13
Tylko tam	14
Widok z rzeki	15
On, poeta. On, we śnie	16
To, co nad brzegiem morza usypia	17
Upoważnienie muzyki	18
Przedłużenie świata, I	19
Przedłużenie świata, II	20
Jawa przebudzonych mężczyzn	21
O piątej nad ranem	22
Jest ptak z obrotu tęczy	23
Według psa	24
Przepaść. W Górach Snu	25
Wyspa, kij	26
Przez drzewa na świat	27

Rzucanie śniegu na wodę w nocy	28
Zjadanie wiśni	29
Tak uśpiewałeś	30
KSIĘGA OBRAZU	31
I (<i>Sto serc...</i>)	33
II (<i>Cień morza...</i>)	34
III (<i>Krajobraz...</i>)	35
IV (<i>Muzyka...</i>)	36
V (<i>Jest tylko...</i>)	37
VI (<i>Stońce dzwoni...</i>)	38
VII (<i>Radość burzy...</i>)	39
VIII (<i>Krzyk srebrnych...</i>)	40
IX (<i>Niżej gwiazdy...</i>)	41
X (<i>Wydobycie...</i>)	42
XI (<i>Było niebo...</i>)	43
XII (<i>Drzewo...</i>)	44
LI	45
I (<i>Z niesłyszalnego o świcie krzewu...</i>)	47
II (<i>Na wietrze, bez łuku słońca...</i>)	48
III (<i>W spadającego powierzchnia się przenika...</i>)	49
IV (<i>Z wysokości podwiniętego jedwabiu...</i>)	50
V (<i>Ale nie muzyką, nie różą związaną!...</i>)	51
VI (<i>Ciszej kwiatom odśpiewało się...</i>)	52
VII (<i>Szkoło, na dym gwiazdy podwójnej...</i>)	53
VIII (<i>Niespotykanym słońcem w zaspach...</i>)	54
IX (<i>Niebo jest w nocy...</i>)	55
X (<i>Do dna, z którego gaszą lampy...</i>)	56
XI (<i>Gdziekolwiek wewnątrz, poza...</i>)	57
XII (<i>Puste drzewo wypełnia się...</i>)	58
XIII (<i>W oku widzisz potężnie...</i>)	59
XIV (<i>To krzyż stojący w oknie...</i>)	60
XV (<i>Znieruchomiłym brzegom śpiewało...</i>)	61

PROCH	63
I	65
II	72
Ach, niebo, powstrzymaj się!	72
Powitanie nieznanego, który przyszedł	73
To, co gaśnie dla ciebie	74
Dzieciństwo	74
Jesień	75
Sen w ruchu płonącym	76
Pod wiatrami	77
Echo	78
Pożegnanie deszczem	78
Poza muzyką	79
Przeciw chórom	80
Księga śniegu	81
Powiedz słońce i zamknij się	82
Obraz biały	82
III	83
Wysokie rozszczepienie	83
Lete	87

I	Wstęp	1
II	Historia	2
III	Opis	3
IV	Wzrost	4
V	Wzrost	5
VI	Wzrost	6
VII	Wzrost	7
VIII	Wzrost	8
IX	Wzrost	9
X	Wzrost	10
XI	Wzrost	11
XII	Wzrost	12
XIII	Wzrost	13
XIV	Wzrost	14
XV	Wzrost	15
XVI	Wzrost	16
XVII	Wzrost	17
XVIII	Wzrost	18
XIX	Wzrost	19
XX	Wzrost	20
XXI	Wzrost	21
XXII	Wzrost	22
XXIII	Wzrost	23
XXIV	Wzrost	24
XXV	Wzrost	25
XXVI	Wzrost	26
XXVII	Wzrost	27
XXVIII	Wzrost	28
XXIX	Wzrost	29
XXX	Wzrost	30

WYDAWNICTWO LUBELSKIE . LUBLIN 1982

Wydanie I. Nakład 1728+272 egz. Ark. wyd. 2.
 Ark. druk. 5,75/16. Papier druk. sat. kl. III, 70 g,
 70×100 cm. Oddano do składania 15 grudnia
 1981 r. Druk ukończono w kwietniu 1982 r.
 Cena zł 30.—

Lubelskie Zakłady Graficzne, im. PKWN,
 Lublin, ul. Unicka 4. Zam. 2504/81. R-2.